Cena 50 gr

BŁYSKAWICA

Cena 50 gr

MIESIĘCZNIK UCZENIC i UCZNIÓW KOMUNALNEGO GIMNAZJUM KOED.

W ROŻDZIENIU-SZOPIENICACH GÓRNY ŚLĄSK

PRENUMERATA:	Adres Redakcji i Administracji:	CENY OGŁOSZEŃ:
roczna . . zł 5.—	Rożdzień-Szopienice	cała strona zł 20.—
półroczna . . zł 2.50	ulica 11 Listopada, Gimnazjum	pół strony zł 10.—
kwartalna . zł 1.50		ćwiartka zł 5. -

Nr. 15. Rożdzień-Szopienice, luty 1931 r. Rok III.

TREŚĆ:

Cena 50 gr

BŁYSKAWICA

Cena 50 gr

MIESIĘCZNIK UCZENIC i UCZNIÓW KOMUNALNEGO GIMNAZJUM KOED.
W ROŹDZIENIU-SZOPIENICACH GÓRNY ŚLĄSK

PRENUMERATA:	Adres Redakcji i Administracji:	CENY OGŁOSZEŃ:
roczna . . zł 5.—	Roździeń-Szopienice	cała strona zł 20.—
półroczna . zł 2.50	ulica 11 Listopada, Gimnazjum	pół strony zł 10.—
kwartalna . zł 1.50		ćwiartka zł 5.—

Nr. 15. Roździeń-Szopienice, luty 1931 r. **Rok III.**

Pod znakiem matury.

Płyniemy pełnemi żaglami i już — dobijamy do portu. My pierwsi, jak Roździeń Roździeniem, a Szopienice Szopienicami!

Jest w tem pierwszeństwie nasza duma, lecz jest też niepokój i troska. Jak będzie wyglądało to Jutro, co wali ku nam szybkiemi krokami?

Nigdy bowiem nie widzieliśmy w naszym skromnym gmachu — matury! Nigdy nie mieliśmy kolegów, którzyby ją w ciągu lat poprzednich „w oczach naszych" zdawali. Odkąd pamięć nasza sięga, byliśmi zawsze klasą najstarszą, której los kazał symbolizować stopniowy rozwój naszego Gimnazjum. Do pewnego stopnia na tem polega nasze — (ośmielę się twierdzić) wyjątkowe znaczenie, nasza misja.

A cóż dopiero teraz kiedy — (słowa same ponoszą!) — stajemy się bohaterami chwili! Bo przecież dla młodszych kolegów, którzy w rocznych odstępach podążają za nami, nasza matura jest premjerą przedstawienia, jakie im kiedyś grać przyjdzie!

Musimy więc wystąpić z fasonem, bez tremy!

Dzień 1 marca jest ostatnim terminem zgłaszania pretensji maturycznych ze strony kandydatów. Trzeba przedtem pogadać na rozum z fotografami, by podobizny maturyczne, zawsze o nas pochlebnie świadczyły, choćby wbrew samemu świadectwu. Następnie dokonać w granicach dopuszczalnych wyboru; matematyka czy fizyka, pisemne z polskiego czy z historji. To pewne, że najgorsi matematycy nie odważą się na fizykę, a ci, co w 12-letniej walce z ortografją dotąd nie zawarli rozejmu, będą pisali temat historyczny.

Jest zwyczaj, praktykowany w licznych miastach Polski, że się na egzamin pisemny przyjeżdża z całą pompą — korowodem dorożek Z berłami w ręku— z papieru i barwnej bibuły! Szkoda, że w naszej gminie niema dorożkarskiego przemysłu! Wobec tego jednak proponuję zbiórkę całej klasy (z berłami!) na placu pomiędzy dworcami, skąd z pieśnią junacką na ustach udamy się do Gimnazjum — gęsiego.

Pozostanie jeszcze egzamin ustny. W grupkach po czterech, po pięciu. Przy zielonym stole, Służbowo.

Mówią, że Pan Wizytator bardzo trudno pyta!...

Kirem tajemnic zasnuta jest przyszłość.

Ale — nil desperandum! — trzeba iść śmiało żołnierskim, mocnym krokiem. Zdobyć wstęp do — życia!

Potem — wyhulać się na pożegnanie, wypić 10 toastów na cześć naszego Gimnazjum i — dla przykładu młodszym, by skarby nauki cenili — a wreszcie tęsknić długo do zjazdu po dziesięciu latach.

Jeden z ósmej.

Komunikaty.

Na fundusz Prasowy „Błyskawicy" klasa VI złożyła 7 zł. 20 gr. Życzliwym ofiarodawcom składamy serdeczne podziękowanie.

Po dziesięciu latach.

Z hangaru, osadzonego na płaskim dachu olbrzymich zakładów technicznych inżyniera Szkoczylasa, pilot Frania wytaczał zgrabną, aluminiowej konstrukcji, awionetkę. Raz po raz zaklinał się przytem na „pierona", bo zbyt obszerny kostjum pilocki, pod którym krył się prosto z igły smoking, za każdym krokiem zmieniał na nim położenie i przyjąwszy kształt harmonji, ciążył uparcie ku dołowi,

Na szczęście zgrzytnęło coś w przyhangarowej windzie i widmo samego inżyniera przyskoczyło na dachowe letnisko. Widmo było wysokie i wąskie, jak śmigło. Twarz sucha, koścista. Mina straceńca lub — zdobywcy świata. Duże, krągłe okulary. Kostjum lotniczy, niedopięty. Pod nim również „smoki". W ręku czarna zarzutka i — cylinder.

Jesteś gotów?

— Choroba z tem lataniem! — ględzi Frania — wszystko z człeka leci.

— Podziękuj sobie sam! — zaciąga z lwowska inżynier — Gdybyś nauczył się matematyki, miałbyś może to wszystko, co ja zdobyłem. Może ja bym właśnie tobie pilotował,

— Zaś tam!—mruknął Frania, którego takie tematy przyprawiały o wściekłość, i czemprędzej puścił w ruch motor.

Silnik ziewnął swądem palonej benzyny i wyrznął młynka śmigłem. Zawarczało.

Ledwo zdołali władować się do aparatu, spiąć na sobie pasy. Lekka maszyna sunęła już po betonowej bieżni dachu. Śmigło nabijało chyżość.

Na ostatnim prawie metrze Frania poderwał samolot. Skoczyli w powietrze, zwarli się z niem, wzięli za bary. Kopnęła się pod nim w tył szachownica miejskich ulic. Śmignęli tylko nad wieżycą Marjackiego kościoła. Katowice mieli już za sobą. Uciekło też z pod nich Zawodzie.

Przemknęli się nad rozkopami i hałdami, poprzez które pełzało ku Katowicom wielkie, kominami hut ziejące miasto Rożdzień-Szopienice.

Już przewinięły się pod nimi olbrzymie tereny Polskiego Przemysłu Cynkowego, zostały na boku potężne gmachy dworca „Szopienice Centralne". — Już przelecieli ponad wieżami kościołów, zniżyli się nad skrzydłami rozbudowanego Ratusza, zatoczyli półkole nad szaremi blokami domów miejskich, aż wreszcie z drżeniem serca posadził Frania maszynę na betonowej terazie Państwowego Gimnazjum Koedukacyjnego, tuż obok masztu, na którym dumnie łopotał biało-czerwony sztandar.

Terasa dachowa Gimnazjum, była tak obszerna, że obok awionetki inżyniera Czekały już na niej wysunięte przed wspaniały hangar, gotowe do lotu trzy aparaty uczniowskiego Aeroklubu.

—Byle się któremu nie zrobił przy tej uroczystości korkociąg! — ozwał się Frania, wygramolony już z kleszczy samolotu:

— Każdy dziś pretenduje do bohaterstwa — zauważył inż. Skoczylas, choć palcem koło gmachu tego nie ruszył.

— Tylko — ty?

— Tylko ja!

— Jakby to każdy miał być budowniczym...

— Tylko potęgę znać — matematyki!

Zrzucili szybko powietrzne kostjumy i zostawili w aparacie. Pogoda, choć zacinająca jesienią, była pewna. Gwarantowały ją stacje metereologiczne. Można było zostawić samolot na miejscu

Wyświeżeni, galowi, skierowali się ku — windzie: inżynier i pilot – koledzy!

Nie mógł odmówić sobie inż. Skoczylas spojrzenia na miasto z wyżyn swojego dzieła. On to bowiem wydźwignął monumentalny gmach, który olśnić miał cały kraj, ba! nawet zagranicę. Jego projekt, jego kierownictwo, jego robotnik, jego wykończenie! Cały swój talent, zapał i energję ułożył w to architektoniczne cudo. By to Gimnazjum, w którem razem z Franią przed 10 laty do matury się sposobił i jako gwiazda matematyczna zabłysnął, oswobodzić ze strasznej „komunalnej" klatki i w „państwowy" je pałac przeprowadzić!

By w miejscu, gdzie był szopienicki mur, a zwał się „dwór", prawdziwy dwór wystawić.

Dziś właśnie poświęcenie i zjazd **p i e r w s z y c h** rożdzieńsko-szopienickich maturzystów!

Po dziesięciu latach!

Sześciosobowa winda zniosła ich na pierwsze piętro.

W reprezentacyjnych apartamentach Dyrektora, **p r z y g o t o w a n y c h** na przyjęcie **n a j ś w i e t n i e j s z y c h** gości, nie było **j e s z c z e** nikogo. Program bowiem uroczystości przewidywał wymarsz młodzieży wraz z Dyrekcją, Gronem i eks-maturzystami z podwórza dawnego. historycznego budynku przy ulicy 11 Listopada, który teraz przeznaczono na ochronkę. Tylko orkiestra uczniowska, dla której nie było tam już miejsca, wymaszerowała z nowego gmachu naprzeciw.

Skoczylas czuł się dziś odpowiedzialnym za każdy szczegół. Wiedział, że wśród gości zaproszonych będzie dziś sam Pan Minister W. R. i O. P. i Pan Wojewoda Śląski. Prawda, że Minister — to dawny profesor Komunalnego Gimnazjum w Rożdzieniu, lecz tembardziej trzeba mu pokazać, czego uczniowie jego dokonali.

Ciągnął więc Franię z pracowni fizykalnej do chemicznej, z sali rysunkowej do gabinetu zbiorów historycznych i do muzeum przyrody żywej. Stamtąd do sali kinematograficznej. Wszystko było świeże jak z pudełka, pachnące farbą i pokostem.

Zeszli do głównego hallu, wykładanego stiukami, gdzie właśnie miała być odsłonięta pamiątkowa tablica:

„ROKU PAŃSKIEGO 1941"... itd.

Z hallu powędrowali do centralnej szatni szkolnej z oddziałami męskim i żeńskim, zajrzeli do olbrzymiej sali, gimnastycznej wyposażonej w najnowsze przyrządy, jakich nie widziano nawet w Warszawie.

—Czy to także matematyka? — zapytał z respektem Frania na widok dziwacznej machiny, służącej do nauki chodzenia do góry nogami.

— Głupiś! – zdenerwował się Skoczylas — To matematyczna fizyka!

Już się więcej biedak nie pytał, bo znaleźli się w ciemnej, nieoświetlonej sali teatralnej z dwoma piętrami lóż i balkonów, którą Skoczylas umieścił w specjalnej ratundzie, żeby Kółko Dramatyczne uczniów nie musiało zabiegać o łaski p. Freunda.

— Scena, że gębę rozdziawić! — objaśnił Skoczylas — Wytrzyma 50 odsłon w trzech godzinach.

Frania zapalił się. Zażądał oświetlenia sali i wprowadzenia na scenę. Przypomniały mu się wszystkie dawne role. Chciał koniecznie wypluć z siebie w pustą widownię resztki Wittle'a, który tkwił mu w głowie od czasów „złotego wieku rycerstwa".

Skoczylas powstrzymał go:

— Niema czasu! Dziś wieczór będzie tu przedstawienie. Zobaczysz.

— A co grają?

— „Englantyna Pattey czyli biedny Julek".

— Czyje to?

— Helenki Jęczm... nie, jakże ona dzisiaj się nazywa?...

Pozostało jeszcze obejrzeć aulę, przybraną festonami na przyjęcie Pana Ministra i salę balową. Salę tę zastosował Skoczylas ściśle do okólników i ostatnich badań szwajcarskich psychologów nad koniecznością pełnego towarzysko-moralnego wychowania młodzieży w ramach szkolnego budynku. Frania aż zadygotał z radości, że po skończeniu „Englantyny" pohula tam sobie fajniście.

Nim jednak weszli do „balówki", doleciały ich stamtąd zmieszane, a jakby znajome im głosy.

— Któż to? — pyta Frania.

— Pewnie komitet zjazdu! — odparł Skoczylas.

Jakoż zadzwoniły ostrogi i w drzwiach stanął major Dziurowicz, attache wojskowy R. P. przy rządzie J. C. M. Cesarza Rosji w Moskwie.

— Wiwat! — wrzasnęli równocześnie i gruchnęli sobie w objęcia.

— Kto tam? co tam? — zaciekawiło się wnętrze sali balowej.

Wyjrzał z niej Hostyński, radca poselstwa R. P. przy rządzie Rzeczypospolitej Hiszpańskiej. Za nim dr. Holeczek, wiceprokurator Sądu Apelacyjnego w Opolu. Dalej błysnął paryski kapelusz pani Dąbrówki X-owej (z domu Krawczyńskiej!), oraz przerażająco jasne włosy pani Ruty Y-owej (z domu Michlowicówny!), której mąż deptał po piętach.

Krzyk się uczynił piekielny, huknęła salwa powitań, aż wypadł ze swojej kancelarji dostojny naczelnik służby gimnazjalnej, p. Krupniok, w śmiertelnej obawie, czy się gmach nie wali.

Na szczęście do ogólnego zapału wsypało się trochę krochmalu. Mianowicie pan Ypsylon, człowiek nie dzisiejszych zasad, założył protest przeciwko poufałości koleżeńskiej, która do jego Ruci pozwalała obcym ludziom po imieniu. Uchwalono zatem, by do dawnych koleżanek, o ile wyszły zamąż, zwracać się sztywniej — przez „pani".

Żeby zmienić tak drastyczny temat, zapytała pani Dąbrówka, co jest jeszcze do zrobienia.

— Nic — zapewniła pani Rucia, która objęła rolę naczelnej gospodyni — wszystko gotowe. Ja się tem zajmę. Wy idźcie z pochodem po Ministra na dworzec. Potem w programie nabożeństwo. Ja pójdę z mężem prosto do kościoła.

— Za pół godziny przyjeżdża pociąg z Opola — zauważył dr. Holeczek.

— Przydała nam się utęskniona przez Niemców rewizja granic! — trzasnął w ramię majora Dziurowicza radca Hostyński — Stolica Województwa od 2 lat w Opolu!

— Głupia rewizja! — obruszył się major. — Nie było wcale wojny, nic prawie nie wylało się krwi.

— Wam tylko krew i krew!—zgrzytnął pacyfista Skoczylas.

— No, pochód już wyszedł z ochronki! — przypomniał cierpko Frania, którego zdenerwowała krochmalna uchwała względem zamężnych koleżanek.

— Spotkamy ich przed pomnikiem Powstańca!—czytał z zegarka Holeczek.

Jakoż cylindry wyrosły na cywilnych głowach, czapka usiadła na majorskiej i zostawiwszy przy bufecie małżonków Ypsylonów, komitet zjazdu wyszedł samopiąt na ulicę. c. d. n.

Willy, kl. VII.

„Odrodzenie".

Redukcja rzuciła Womińskiego na bruk. Po trzech miesiącach ustawicznej bieganiny tu i tam, dostał nową posadę. Biuro, w którem pracował, wynagradzało marnie, ale zawsze coś płaciło. Zabrał się więc do pracy, która jakoś nie szła mu pomyślnie. W wydziale jego było jeszcze dwóch innych i jedna urzędniczka. Była to osóbka mała, blondynka o małych skośnych oczach, lecz zato zgrabnym nosie. Lubiła każdego parodjować po swojemu w tak udatny sposób, że wszyscy śmiali się z niej dosyta.

Poza tą, od urodzenia śmiejącą się osobą — wszystko było ponure, zakurzone, niemiłe.

Stosy ksiąg czerniły się na półkach z białemi numerami na grzbietach, na stolikach porozrzucane papiery, w rogu olbrzymi kosz, wydany na pastwę urzędników, którzy rzucali w niego „swe grzechy" w postaci źle policzonych kolumn cyfrowych.

Najporządniej wyglądał kącik p. Kazi. Maszyna odpowiadała pod każdem naciśnięciem palca, powołując wszystko do życia.

I tak było wciąż.

Znudzony monotonną pracą Womiński stał się automatem. Chwilami nie wiedział, co robi. Ręce opadały mu wdół, głowa ciążyła, a wewnątrz buntowała się młoda dusza.

Poddawał się więc jarzmu niewoli, za które płacono mu kilkunastu złotemi. Redukcja panowała wszędzie. Wiedział wię Womiński, że musi pracować, by jako tako żyć....

— Pewnego razu Womiński przyszedł do biura o całe dziesięć minut później, niż należało. Ze zwykłym jednak pozornym spokojem siadł przy stoliku. Stosy papieru leżały przed nim, jedne całe, drugie w połowie zapisane kolumnami czarnych cyfr. Trzeba było to liczyć. Spojrzał na nie i jakieś dziwne wydały mu się, te kartki — niewinne. — Wziął kilka w rękę, lecz żadnej z nich nie liczył. Cyfry przesuwały się przed oczyma, jak taśma filmu, a zamiast nich widział różne obrazy z niedalekiej przeszłości. Wszystko usunęło się z przed oczu, tylko tęcza wspomnień wabiła go... pokazywała cudne kolory.

— Te kolory to minione lata — myślał Womiński. Był przecież pierwszym uczniem w szkole, mówiono mu o świetnej przyszłości, a on tymczasem liczy kolumny cyfr za parę złotych. Każdy kolor go zdradził. W co obróciły się ideały młodości, na co uczono rzeczy, z których dziś poza uśmiechem na ustach nie pozostaje nic. Więc tak wygląda przepowiadana świetna przyszłość?

— Trzeba zmienić wiarę — szeptał szatański głos — Porzuć dawne obrazy. nie wierz w świat dobra i piękna, bo go niema, ha, ha, ha, gdzie go masz — pokaż — daj!

— A może tylko ja, myślał Womiński na wiecznym ludzkim targu nie mam szczęścia. Może nie potrafię sprzedać swych zdolności, lub ich wykorzystać. Nie

umiem, nie umiem — szeptał. — Tego mnie nie uczono.

— Panie Womiński, pan się spóźnił prawda?

Womiński ani drgnął na odgłos słów szefa.

— Pan zdaje się udawać głuchoniemego — powtórzył tenże z naciskiem.

— Nie dość, żeś się pan spóźnił — to jeszcze siedzisz, Pan jak mumja. My posągów, łaskawy panie, nie potrzebujemy. Dziś jeszcze podam pana do redukcji za niesumienną pracę.

— Ten sumienny — mruknął jeden z kolegów Womińskiego, co on się tak rozsierdził. Czerwony, jak indor.

Słowo „redukcja" nie zrobiło na Womińskim wrażenia, jakiego się spodziewano.

Wstał — i tak litosnem okiem spojrzał na swego szefa, że ten cofnął się kilka kroków.

— Poco mam się tłumaczyć. Co on rozumie, lub co widział poza tą ciemną norą, zwaną bowiem. Za co jemu płacą? — pomyślał. — Ach wiem — za to, że wymyśla na tych, którzy za niego pracują. „Poganiacz" — szepnęły usta, na których przemknął się uśmiech pogardy.

— Właśnie chciałem podziękować za cenną posadę panu szefowi, dłużej nie mam zamiaru pracować.

— To było wszystko. —

Skłonił się lekko w stronę p. Kazi i kolegów, a w kilka minut później był już na ulicy.

Odetchnął świeżem powietrzem i dziwny spokój zapanował na jego duszy Było mu jakoś lekko i dobrze. Słońce przygrzewało mocno, a szyby okien lśniły, jak dziwne jakieś cacka z bajki i cały świat uśmiechał się do niego.

Szedł wolno, bo i poco miał się śpieszyć?

Obok niego szły kucharki z koszykami, służące młode gosposie i wesołe dzieci. Nie znać były po nich troski i życia, to też i Womiński czuł się młodszym i zdrowszym. Nie starał się myśleć, co będzie dalej. Już wchodził do bramy domu, gdy wtem zobaczył młodą cygankę, która wyciągała do niego rękę o kilka groszy.

— Powróżu paniczowi, dla Tiebia bude dużo szczastia w życiu.

— Ach ta znowu wyjechała ze szczęściem — pomyślał. Wyjął złotego, dał cyganicy, mówiąc: — musz, ale nigdy nikomu nie mów o szczęściu. Pamiętaj, kłam co innego, wróż, co chcesz, tylko tego nie, bo tego niema, rozumiesz — niema...

W domu zastał list. Wziął go powoli do ręki, nie śpieszył się odkleić. Zdjął palto usadowił się na kozetce i zdecydował otworzyć go. List brzmiał:

Drogi Stachu!

Pamiętasz zapewne nasze dobre czasy. Pamiętasz nasze figle, ideały i wiarę w przyszłość. Otóż mogę Ci donieść, że nie zawiodłem się w niczem. Życie uśmiecha się do mnie pod każdym względem. Jest mi tak dobrze, że obawiam się by to, co zapewne nazwiesz jak ja „szczęściem", nie minęło.

Wyobraź sobie, że po skończeniu agronomji dostałem świetną posade w majątku państwa C. Znasz ich zapewne z opowiadania Bolka. Jestem, jak u siebie w domu, bardzo mnie lubią, a ja naturalmie wiesz... Wieczorami długo gawędzimy. Pokazywałem im naszą szkolną fotografję i Twoją, którą dostałem przed rokiem. Nie zapomniałem odpowiednio wychwalić Cię przed nimi, na co zasługujesz. Reklama jest dźwignią handlu, czy nie? Ale to nie. Wyobraź sobie, summa summarum, musisz tu przyjechać. Nie myśl, że to tylko moja sprawa. Życzą sobie tego wszyscy wszyscy i ktoś jeszcze, a kto? zobaczysz, przyjedziesz. A więc rzucaj wszystko i do nas. Towarzystwo wyśmienite. Czekamy Cię wszyscy w domu. a konie na stacji.

Twój Adam.

Womińskiemu zajaśniło się w oczach. Na jego zmęczonej twarzy pojawił się blask młodości. Żyć, żyć! — rwała się dusza. Oczy błyszczały jeszcze silniej. Jadę, jadę.

Byłby biegał ze szczęścia, gdyby nie gospodyni, która weszła pytając:

— Cóż to pan nie w pracy dzisiaj? a jakże to?

— Jadę, wyjeżdżam stąd!

— O laboga tak nagle, to już pan nie przyjedzie?

— Nie, nigdy — ach nareszcie zobaczę prawdziwych ludzi! Pomóżcie mi pakować — dobrze?

— Ano, ja tam nie od tego.... jak trzeba, to i trudno.

I podawał jej różne przedmioty, przeglądał szuflady i szafy..... a śpieszno było mu bardzo.

— Dużo bude szczaslia usłyszał znów słowa cyganki.

Wyjrzał oknem. Chciał jeszcze zobaczyć, zwiastunkę szczęścia, ale jej nie było — szła dalej — z wyciągniętą ręką, do której wpuszczano po kilka groszy — za słowa wyroczni.

Patrzył długo w dal, innemi oczyma, a w sercu jego powoli budziło się „odrodzenie“.

— To nie szczęście, nie wierz, nie wierz!—szeptał szatan wściekły, — porzuć marzenia, to tacy sami ludzie.... tak tak, ha, ha, ha.

— Nie trać wiary, wierz w dobro, bo ono tylko istnieje, już go masz, trzymaj i bądź go godnym! — szeptał cichy głos, głos duszy.

Elma kl. VIII.

Motto: To było jeszcze wtedy — kiedy to słońce świeciło jaśniej, kiedy świat się wydawał — piękniejszy, to były Wakacje!

Bled.

(Na jasnym brzegu.)

Już mrok zapadał i niebo powoli ciemniało złocąc się drobniutkiemi plamkami gwiazd...... gondola płynęła prawie bez szelestnie, od czasu do czas tylko załomotały wiosła, nurzające się w szaro-zielonej wodzie, od czasu do czasu chyliła się ciemna posłać „małego gondoljera“.

Łódź mgnęła szybko po lekko marszczącej się powierzchni bledskiego jeziora.

Jechałam do owej „Mekki“ — Bledu, na małą wysepkę znajdującą się na środku olbrzymiego jeziora, do owej cudownej świątyńki, w której znajdował się równie cudowny dzwonek — życzeń.

Zbliżałam się już do celu, jeszcze parę szybszych poruszeń wiosłami, wysepka potężnieje w swej wielkości...: Gondola podpływa pod terasę — i oto znajduje się u stóp góry ze schodów.

Kamienne szerokie stopnie pną się w górę... coraz bliżej ciemnieje wnętrze przedsionka kościoła.

Spojrzałam w dół — gondola moja łagodnie pląsała na kotwicy, ma-

lejąc w mroku i dole, byłam bardzo wysoko (nie wiem dlaczego przypomniała mi się bajka o Marysi, co to trzysta trzydzieści trzy tysiące schodów przewędrować musiała do pałacu króla-Słonka).

A potem ciche wnętrze kościoła,.. mrok i rozmodlenie pełzały po ścianach, rozpływając się w złotym blasku smukłych świec przed ołtarzykiem Marji z Brezji.

Klęczałam przez chwilę, wpatrując się w długi sznur zwisający się ze sklepienia ku dołowi.

Był to sznur czarodziejskiego dzwonka... życzeń.

Bo taka jest legenda: w kościele na wysepce — Bled znajduje się dzwonek, mający cudowną własność spełniania życzeń, trzeba więc, myśląc o swem życzeniu mocno ciągnąć za sznur dzwonka, i jeżeli dzwonek, tam, w górze oddzwoni trzy razy — wówczas życzenie się spełni.

Kiedy uczułam w ręku szorstką powłokę sznura szybko zaczęłam przerzucać moje życzenia i marzenia wybierając tylko te najpotrzebniejsze, było ich bardzo dużo i wszystkie były ważne, ale nie mogłam długo się zastanawiać, bo czasu nie było.

Silnie ujęłam sznur w obie ręce mocno ciągnąc ku ziemi. Spełni się, czy nie?... chwilę czekałam... aż z góry, złościstej od gwiazd i pachnącej mocą rozbrzmiało srebrne wołanie dzwonka,.. ......ile razy?...... uhaeu,, uhaen, uhaenen..... trzy razy na szczęście!!!

Jeszcze dwa razy powtórzyło się misterjum dzwonkowe o szczęśliwym przebiegu.

Trzy najważniejsze pragnienia spełnią się.... Chybotliwe światło świec, stało złote strugi na ciemną posadzkę, uśmiechało się złotem w bronzowej statui św, Jana, lśniło w jego tarczy......

. . . .

Wieczór już był późny, kiedy wracałam, zawieszona „między dwoma otchłaniami ciemnego błękitu" — złocącego się drobnemi plamkami gwiazd... ..„Gondola mknęła szybko... przedemną piętrzyły się na tle szafirowego nieba olbrzymie cienie gór i błyszczał przeciwległy brzeg jarzący się światłem wielokaratowego brylantu

„Doda".

Pozytywizm i jego wpływy na literaturę polską.

Pozytywizm jest to kierunek filozoficzny, oparty wyłącznie na ustalonych wynikach nauki, na doświadczeniu.

Główną jego cechę stanowi trzeźwość umysłu, zwrot do rzeczywistości, rozbrat z marzeniami, lekceważenie uczucia i fantazji.

Pozytywizm powstał w Europie w drugiej połowie XIX w. jako reakcja przeciw romantyzmowi i jego hasłom, które straciły już urok, przestały działać na dusze. Rozwojowi jego sprzyjały coraz to nowe odkrycia w dziedzinach nauk przyrodniczyeh i ścisłych, opartych na badaniu i doświadczeniu.

Prąd ten miał stworzyć ludzi, którzy przez swą organiczną pracę od podstaw podniosą materjalny dobrobyt, stworzą przemysł i handel.

Poezja według pozytywizmu zasługuje na pobłażliwość tylko wtedy, gdy będzie miała charakter tendencyjny. Znaczenie poezji jako czynnika artystycznego, jako potrzeby ducha, ignorowano, a ujmowano ją tylko pod kątem wartości praktycznych.

Wskutek tego poczęto lekceważyć romantyzm, ludzie chcieli chodzić po ziemi, ufali tylko rozumowi, chłodni, praktyczni, wygnawszy piękno z życia, stworżyli materjalizm, mrożąc serca, zabijając wszelkie górne myśli, głosząc kult pieniądza i siły.

W Polsce, obok przyczyn ogólnych miał pozytywizm specjalni dogodne warunki, sprzyjające jego rozwojowi, a wynikłe na skutek klęsk spowodowanych powstaniem styczniowem. Powodu tej klęski społeczeństwo doszukiwało się w romantyźmie, jego hasłach, nie liczących się z rzeczywistością, z siłami narodu, toki poczęto się od niego odwracać; umysły opanowała trzeźwość, duch pozytywny.

Pozostali nieliczni spadkobiercy dawnych ideałów, przez „młodych" zwani idealistami odzywali się nieśmiało lub boleśnie, gdzie na uboczu, częstokroć wyśmiewani i wyszydzani, Głos poezji nielicznych epigonów nie miał zrozumienia u ogółu. To też byli i tacy którzy zdala od prądu życia, pisali wyłącznie dla siebie, nie znani nikomu. I tak przeżywała się poezja w rozdźwięku z życiem, co tak wyraźnie brzmi w twórczości Asnyka.

Tylko tacy poeci i powieściopisarze, którzy czerpali tematy ze swych utworów z szarej, codziennej rzeczywistości którzy fantazje zastąpili pilną obserwacją życia, a uczucie rozsądkiem, którzy przez swe utwory spełniali zadanie pożytecznie propagaowali pewne idee, mogli mieć posłuch uznanie i zrozumienie u społeczeństwa.

A takich było niewielu.

Wybitniejszymi przedstawicielami literatury polskiej te[illegible] okresu są: Asnyk, Konopnicka, Prus, Orzeszkowa i poczęści Sienkiewicz.

Asnyk nie mógł się nigdy zupełnie zgodzić z poglądami pozytywistów, zwłaszcza w odniesieniu do poezji. Widział, że w poezji ujmowanej z punktu widzenia „młodych" nie ma miejsca na ideały, szczytne rozloty i górne hasła, gdyż była ona zanadto praktyczna i chłodna, Tem się też tłumaczy ten dysonans w twórczości Asnyka, z natury zbliżonego romantykom przez swą nerwowość wrażliwość, kult indywidualizmu, który rozumiał jednak, że pozytywizm jest koniecznością dziejową. jako reakcja przeciw „mrzonkom romantyzmu" to też starał się nagiąć, przystosować do prądu chwili. Poezje jego symbolizuje te starcia obu ideologji, w niej można znaleźć oddźwięk tych zwątpień i wahań, dysharmonji rozumu z uczuciem, buntu przeciwko prądowi epoki. W niektórych swych utworach pragnie się zbliżyć poglągami swemi do współczesnych, propagując hasła głoszone przez pozytywistów („Do młodych") rzuca imperatyw: „budujcie nie burząc". „Szukajcie prawdy jasnego płomienia, szukajcie nowych, nieodkrytych dróg... Ale nie depczcie przeszłości ołtarzy,... Ze światem, który w ciemność już zachodzi... Prawdziwa mądrość niechaj was pogodzi."...

Tak pragnął poeta. — W wierszu „Dzisiejszym idealistom" każe im zstąpić z tego świata, odgrodzonego od życia przeżytemi już hasłami, ku temu właśnie życiu, każe im brać w nim czynny udział w walce o byt

Mimo jednak pozorne pogodzenie się z rzeczywistością, we wszystkich jego utworach brzmi cichy smutek i wielki żal za majakami przeszłości, za romantyzmem Niekiedy nawet odnosi się wrażenie, jakby poeta chciał w sobie przygłuszyć te uczucia i zbliżyć się do prądu swej epoki. („Daremne żale")

Wpływ pozytywizmu na Asnyka zaznacza się jeszcze w tem, że poezja jego, obok liryzmu zawiera wiele żywiołu refleksyjnego; ponadto swym poglądem

na świat, który przedstawia obrazowo w sonetach „Nad głębiami", wiarę w postęp, w ewolucję powszechną przyrody i człowieka, na drodze kultury i szczęścia zbliża się do pozytywistów. Życie rozwija się i ustawicznie posuwa się naprzód. Nawet śmierć, ten „chorąży postępu", służy wszechżyciu, które doskonali się i bogaci,

Marja Konopnicka w pierwszym okresie swej twórczości uległa zupełnie pozytywizmowi. Poezję swą dostosowała do jego wymagań, nadając jej charakter wybitnie społeczny. Poetka występowała w obronie uciśnionych i biednych, opiewała niedolę i nędzę ludu domagając się poprawy jego bytu.

Najwybitniejszym pozytywistą był Bolesław Prus, znakomity nowelista i powieściopisarz. W powieściach starał się zawsze o użyteczność społeczną chcąc, aby owe charaktery i poglądy ludzi, otwierały oczy na zło, — uczyły.

Charakter taki posiada powieść z życia ludu, p. t. „Placówka". — Bohater powieści. Józef Ślimak, gospodarz wiejski, człowiek pozbawiony elementarnego nawet wykształcenia, ma wiele wad, jest zacofany i lękający się zmian w prowadzeniu gospodarstwa.

I musiałby zapewne ulec w walce z napływającą falą kolonistów niemieckich gdyby nie jedna, nawskroś dodatnia cecha jedo charakteru: Ślepe, namiętne, żywiołowe wprost przywiązanie do ziemi rodzinnej, co mu nadaje wartość i czyni z niego wielką siłę narodową.

W powieści obyczajowej p. t. „Lalka" dał Prus obraz życia, ludzi. prądów i dążeń pewnych warstw społeczeństwa, podkreślił główne cechy arystokracji, szlachty i mieszczaństwa, potęgując w ten sposób charakter. realistyczny utworu.

W powieści p. t. „Emancypantki" rozpatruje Prus kwestję równouprawnienia, kobiet. Zręcznie wyszydza krzykliwe emancypantki w rodzaju p. Howard, a podnosi dobroć i łagodność Madzi, jako zalety, najbardziej odpowiadające kobiecie.

Powieścią, w której została połączona fantazja artystyczna z rozległą wiedzą, uczonego jest „Faraon", gdzie zapoznaje nas dokładnie ze społecznemi, politycznemi i kulturalnemi stosunkami starożytnego Egiptu.

Pozywizmowi uległa również Eliza Orzeszkowa, która pragnęła być nauczycielką swego społeczeństwa. Powieści jej, posiadające największą wartość, to: „Marta", „Nad Niemnem", „Cham", „Dziurdziowie".

Orzeszkowa zwalcza przesądy, propaguje pożyteczne hasła, wskazuje społeczeństwu różne zadania, podaje myśl zbliżenia się dworów szlacheckich do zaścianków, maluje lud wiejski, podkreśla jego wady, uwydatnia potrzeby,

Henryk Sienkiewicz pozostawał pod wpływem pozytywizmu tylko w początkowych utworach np. w noweli z życia ludu p. t. „Szkice węglem". W późniejszych latach przechodzi na pole powieści historycznej, zbliżając się do romantyzmu.

Pozytywizm w Polsce nie trwał długo. Zwycięstwo jego było krótko trwałe. Trzeźwość. praktyczność, wyłączność rozumu, nie mogły trwać długo. Dając dobrobyt materjalny, pozostawiały pustkę duchową, czyniły społeczeństwo nieodporne na ciosy zewnętrzne, budziły ugodowość i ustępliwość wobec wroga. To też w sercu społeczeństwa poczęła się budzić reakcja. Przychodzi do głosu poezja, dążąc z powrotem do zawładnięcia sercem ludzkiem. Zaczyna rozbrzmiewać coraz donioślejszy protest przeciw bezduszności życia, przeciw krępującym twórczość więzom, przeciw narzuconej tendencji.

Młodzi skarżą się słowami Miriama (Zenona Przesmyckiego) na swą dolę:

„Duszący zwątpień mrok
ogarnął nas dokoła.
Nie błyska ogniem wzrok,
bezmyślnie gną się czoła.
Straszliwa pustka w nas
Nie znamy drgnień zapału.
Obojętności głaz
przywala nas pomału"

To też powstał p Polsce nowy prąd zwany zrazu modernizmem („Młoda Polska“).

Pozytywizm pozostawił w literaturze pewne ślady. Pod jego wpływem poeci troszczyli się więcej o prawdę, pilniej obserwowali życie, głębiej starali się wniknąć w nurtującego zagadnienia.

Mleczkówna kl. VIII.

Wieczór.

Czerwony blask komina
na białą pada ścianę
na okien małych szybki —
— calutkie śniegiem zawiane.

I purpurowe kręgi —
— wokół panienki ściele
że taki blask od Niej bije,
jak w wielkim ołtarzu w kościele.

Potem znów cicho pełza
gdzie mała lampka płonie —
— gdzie Matka Boża we łzach
wyciąga białe dłonie . . . . . .

Gasną już złote polana
żar na kominie ciemnieje . . . .
już tylko na jednej ścianie
płomienna łuna się śmieje. . . .

— — — — — — — — — — —

Mrocznieje wnętrze świetlicy
mrok szary po kątach pełza
tylko jaśnieje twarz Dziewicy . . .
. . . twarz słodka, lecz cała we łzach.

„Doda“

Kącik najmłodszych.

Kiedy spadnie śnieg...

(zadanie szkolne)

Każda pora roku ma swoje przyjemności i zabawy, lecz najprzyjemniejszą jest zima. Kiedy spadnie śnieg, wszyscy wybiegają na podwórze, jakby orzeźwieni tą zmianą; dzieci krzyczą, śmieją się, skaczą z radości i zaraz zaczynają się bawić.

Jedni lepią z mokrego śniegu bałwana. Robią małą kulkę, tę kulkę toczą po śniegu, tak, że pęcznieje, jak chleb na drożdżach, przytem śpieszą się, bo każdy chce być pierwszy. Gdy kilka takich kul jest zrobionych, ustawiają jedną na drugą tak, że powstaje góra śniegu, podobna do człowieka, potem robią temu bałwanowi nos z „kulki“ śniegu, oczy z węgla i usta ze zwiędłej marchwi, na głowę wsadzają koszyk zepsuty, a miotłę wtykają do ręki Potem gdy się z niego naśmiewają, rozwalają go pięściami.

Gdzie jest jaki wzgórek, a śnieg mocno ubity, tam zażywa się jazdy na sankach. Jest to bardzo przyjemne. Ze wzgórka jedzie się lotem błyskawicy, a wiatr huczy jak maszyna. Potem jednak jest smutna chwila wyjścia na górę.

Oprócz jazdy na sankach jest przyjemnie jeździć na łyżwach.

W zimie jest przyjemnie, lecz potem często nastaje chwila przykra, gdy się zaziębimy lub nabawimy się kaszlu.

Zygiert Józef kl I.

Od Wydawnictwa.

Skromniutki, w samym rogu okładki umieszczony napis „Cena 50 gr.“ wywiera na was czytelniczki i czytelnicy piorunujące wrażenie. Dlaczego? —

Przecież przez wydanie 50-ciu groszy miesięcznie, na taki cel, jak prenumerata pisma szkolnego, nikt jeszcze nie zbankrotował; najwyżej zadłużył się.

Ale trudno, różnie się dzieje na tym świecie.

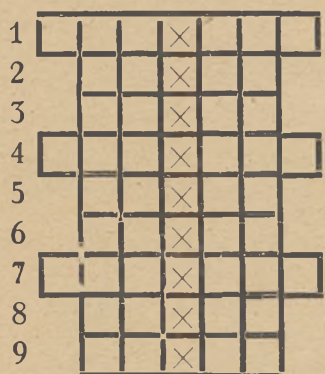
I stało się coś zadziwiającego z Wydawnictwem, które ściągając od Was pieniądze za prenumeratę, postanowiło zrobić miłą, szczególnie dla Waszej kieszeni niespodziankę przez urządzenie; **Wielkiego Międzyklasowego Konkursu Prenumeratorskiego.**

Uważajcie: Klasy prenumerujące w całości naszą „Błyskawicę“ płacą za pojedyńczy egzemplarz 40 gr. Jeżeli w ten sposób będziecie prenumerować wszystkie koleżanki i wszyscy koledzy, od największych z drugiego piętra począwszy, a skończywszy aż na parterze, wtedy za Waszą „kieszonkową współpracą“ otrzymacie egzemplarze po 30 gr.; przez co udostępnimy nabycie „Błyskawicy“ szerszym masom społeczeństwa.

Pozatem regulujemy drugą „bolączkę błyskawicową“, jaką? — łatwo zgadnąć, mam tu na myśli wprowadzenie w życie pewnego udogodnienia, w sprawie nagród za rozwiązanie logogryfów, łamigłówek itp. które pojawiły się z nowym rokiem i będą nadal drukowane, otóż Redakcja przeznacza pięć nagród za najlepsze rozwiązania, które będą rozdane, względnie rozlosowane z końcem roku szkolnego, zależnie od ilości otrzymanych puuktów.

Łamigłówka geograficzna.

ułł: Weng.



Znaczenie wyrazów:

1. Szereg grupy ałtajskiej.
2. Rzeka Francji zach.
3. Radjostacja polska
4. Wyspa Azji połud.
5. Miasto nad Dnieprem
6. Tunel włoski
7. Rzeka w Azji połud.
8. Góra w Grecji połud.
6 Jezioro europejskie

Właściwe rozwiązanie dadzą krzyżyki.

Komitet red.: R. Dziurowicz, D. Krawczyńska, i J. Magrysiówna. Dyr. wydawnictwa W. Engelking. Wydawcy: uczenice i uczniowie Kom. Gimn. Koed. w Rozdzieniu-Szopienicach. Redaktor odpow. i opiekun dr. Kazimierz Gołba.

Druk. „Nakładowa“ Będzin, Kościuszki 20, telefon Sosnowiec 12-08.